

Yoram Hazony: Wprowadzenie do „Pochwały państwa narodowego”

Nacjonalizm, w którym zostałem wychowany, stanowi pewne pryncypialne stanowisko, zgodnie z którym świat jest najlepiej zarządzany wtedy, gdy poszczególne narody mogą obierać niezależny kierunek działania, bez przeszkód pielęgnując swoje tradycje i realizując własne interesy. Przeciwnym stanowiskiem jest imperializm, zgodnie z którym do zapewnienia światu pokoju i zamożności należy dążyć przez zjednoczenie ludzkości, na ile to możliwe, w ramach jednego ustroju politycznego – pisze Yoram Hazony we wprowadzeniu do książki „Pochwała państwa narodowego”. Zachęcamy do wsparcia naszej zbiorki.

W polityce brytyjskiej i amerykańskiej nastąpił zwrot ku nacjonalizmowi. Zjawisko to jest dla wielu niepokojące, zwłaszcza w kręgu ludzi wykształconych, w którym globalną integrację od dawna uznaje się za warunek stabilnej polityki i moralnej przyzwoitości. Z tej perspektywy decyzja Wielkiej Brytanii o opuszczeniu Unii Europejskiej oraz przyjęta w Waszyngtonie retoryka „America first” zdają się zwiastować nawrót do bardziej prymitywnej epoki dziejów, w której swobodnie podżegano do wojen oraz dawano wyraz rasizmowi i w której panowało przyzwolenie, by te właśnie postawy kształtowały politykę poszczególnych narodów. W obawie przed najgorszym, osoby publiczne, dziennikarze i akademicy w możliwie najsilniejszych słowach potępiają powrót nacjonalizmu do amerykańskiego i brytyjskiego życia publicznego.

Trwa właśnie zbiórka na wydanie książki „Pochwała państwa narodowego” Yorama Hazony'ego. Dołącz do grona Darczyńców!

Jednak nacjonalizm nie zawsze uznawano za tak zły, jak sugeruje to ton współczesnej debaty. Jeszcze kilka dekad temu nacjonalistyczną politykę powszechnie kojarzono z otwartością umysłu i wielkodusznością. Czternaście punktów Wilsona i podpisana przez Franklina Roosevelta oraz Winstona Churchilla Karta Atlantycka były przez progresistów postrzegane jako promyki nadziei dla ludzkości – i to właśnie dlatego, że uważano je za stanowiące wyraz nacjonalistycznego nastawienia, obiecując narodową niepodległość i samostanowienie zniewolonym ludom całego świata. Również konserwatyści, od Teddy'ego Roosevelta po Dwighta Eisenhowera, traktowali nacjonalizm jako dobro pozytywne, zaś Ronald Reagan i Margaret Thatcher w swoim czasie byli przez konserwatystów chwaleni za „nowy nacjonalizm” wniesiony przez nich do życia politycznego. W innych krajach mężowie stanu, tacy jak Mahatma Gandhi czy Dawid Ben Gurion, stanęli na czele nacjonalistycznych ruchów politycznych, które pozyskały sobie powszechny podziw i szacunek, prowadząc mieszkańców tych państw ku wolności.

Liczni politycy i intelektualiści, którzy jeszcze kilka pokoleń temu akceptowali nacjonalizm, niewątpliwie mieli o nim jakieś pojęcie i nie starali się po prostu zepchnąć nas do bardziej prymitywnej epoki dziejowej, do wojennego podżegania i rasizmu. Co zatem widzieli w nacjonalizmie? Jak dotąd podjęto zaskakująco niewiele prób udzielenia odpowiedzi na to pytanie, czy to w sferze publicznej, czy to w życiu akademickim.

*Jeszcze kilka dekad temu
nacjonalistyczną politykę
powszechnie kojarzono z
otwartością umysłu i
wielkodusznością*

Moje pochodzenie daje mi pewien wgląd w tę kwestię. Przez całe swe życie byłem żydowskim nacjonalistą, czyli syjonistą. Podobnie do większości

Izraelczyków przejąłem tę polityczną postawę od swych rodziców i dziadków. Moja rodzina przybyła do żydowskiej Palestyny w latach dwudziestych i na początku lat trzydziestych XX wieku, dążąc do ustanowienia tam niepodległego państwa żydowskiego. Udało im się to i większość swego życia spędziłem w kraju, który został założony przez nacjonalistów i po dziś dzień jest rządzony w znacznym stopniu przez nich. Przez te lata poznałem bardzo wielu nacjonalistów, wśród których były osoby publiczne i intelektualiści zarówno z Izraela, jak i z innych krajów. I choć nie każdy z nich przypadł mi do gustu, ogólnie rzecz biorąc są to ludzie, których głęboko podziwiam za ich lojalność i odwagę, zdrowy rozsądek i moralną uczciwość. W tym kręgu nacjonalizm nie jest uznawany za jakąś niepojętą chorobę polityczną, okresowo opanowującą poszczególne państwa bez żadnego powodu i ze złymi skutkami, jak współcześnie wydaje się sądzić wielu ludzi w Ameryce i Wielkiej Brytanii. Stanowi on natomiast uznaną teorię polityczną, w duchu której zostali wychowani jego zwolennicy – teorię tego, jak powinien być urządzony świat polityki.

Czego dotyczy ta nacjonalistyczna teoria polityczna? Ten nacjonalizm, w którym zostałem wychowany, stanowi pewne pryncypialne stanowisko, zgodnie z którym świat jest najlepiej zarządzany wtedy, gdy poszczególne narody mogą obierać niezależny kierunek działania,

bez przeszkód pielęgnując swoje tradycje i realizując własne interesy. Przeciwnym stanowiskiem jest imperializm, zgodnie z którym do zapewnienia światu pokoju i zamożności należy dążyć przez zjednoczenie ludzkości, na ile to możliwe, w ramach jednego ustroju politycznego. Nie zakładam, że argumenty jednoznacznie wskazują na wyższość nacjonalizmu. Za obiema tymi teoriami przemawiają rozmaite względy. Jednak nie da się, bez zaciemniania sprawy, uniknąć wyboru między dwoma stanowiskami: albo zasadniczo popiera się ideę międzynarodowego rządu lub ustroju, który narzuca swą wolę podlegającym mu narodom wtedy, gdy ludzie nim kierujący uznają to za konieczne; albo jest się przekonany, że narody powinny mieć swobodę w wyznaczaniu kierunku swego działania przy nieobecności tego rodzaju międzynarodowego rządu lub ustroju.

Przez całe swe życie byłem żydowskim nacjonalistą, czyli syjonistą. Podobnie do większości Izraelczyków przejąłem tę polityczną postawę od swych rodziców i dziadków

Ta debata pomiędzy nacjonalizmem i imperializmem na powrót stała się szczególnie aktualna po upadku Muru Berlińskiego w 1989 roku. Wówczas zakończyły się zmagania z

komunizmem, a umysły zachodnich przywódców opanowały dwa wielkie imperialistyczne projekty: pierwszym z nich jest Unia Europejska, która stopniowo przejmuje od państw członkowskich wiele prerogatyw zwykle kojarzonych z polityczną niepodległością, drugim zaś jest dążenie do ustanowienia amerykańskiego „porządku światowego”, w ramach którego narody niechcące podporządkować się prawu międzynarodowemu są do tego zmuszane, przede wszystkim za

pomocą amerykańskiej potęgi wojskowej. Choć ich zwolennicy nie lubią tej nazwy, są to projekty imperialistyczne, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, mają one na celu odebranie procesu decyzyjnego z rąk niepodległych rządów narodowych i przekazanie go międzynarodowym rządów lub organom. Po drugie, jak już na pierwszy rzut oka wynika z publikacji autorstwa jednostek i instytucji opowiadających się za tymi przedsięwzięciami, projekty te celowo wpisuje się w imperialistyczną tradycję polityczną, czerpiąc historyczne inspiracje z Cesarstwa Rzymskiego, Austro-Węgier i Imperium Brytyjskiego. Na przykład Charles Krauthammer, argumentując u zarania okresu pozimnowojennego za powstaniem amerykańskiego „uniwersalnego dominium”, wzywał, by Ameryka ustanowiła „supersuwerena”, który będzie przewodził trwałemu „dewaluowaniu [...] pojęcia suwerenności” wśród wszystkich narodów na ziemi. Krauthammer do opisanie tej wizji używa łacińskiego terminu *pax Americana*, kreującego obraz Stanów Zjednoczonych jako nowego Rzymu: podobnie jak Cesarstwo Rzymskie miało ustanowić *pax Romana* (czyli „pokój rzymski”), który zapewnił bezpieczeństwo i pokój całej Europie, tak teraz Ameryka zapewni bezpieczeństwo i pokój całemu światu.

Ten rozkwit imperialistycznych idei i projektów politycznych, który dokonał się w ostatnim pokoleniu, powinien być rozbudzić pomiędzy nacjonalistami i imperialistami szczegółową debatę na temat tego, jak powinien być urządzony świat polityczny. Ale do niedawna tego typu dyskusji zasadniczo się unikało. Od 1990 roku, kiedy Margaret Thatcher została przez własną partię zmuszona do ustąpienia ze stanowiska premiera za wyrażenie wątpliwości co do Unii Europejskiej, praktycznie nikt wpływowy czy to w Ameryce, czy to w Europie, nie był specjalnie zainteresowany zakwestionowaniem ogólnej wizji, leżącej w samym sercu tych bliźniaczych przedsięwzięć, nakierowanych na budowanie

imperium⁶. Ta przedziwna jednomyślność pozwoliła na rozwój Unii Europejskiej oraz amerykańskiego „porządku światowego” bez wzbudzania gwałtownej debaty publicznej.

Jednocześnie polityczni i intelektualni orędownicy tych projektów zachowali przejmującą świadomość faktu, że Europejczyków niekoniecznie zachwyci perspektywa odnowy „Cesarstwa Niemieckiego”, nawet jeśli miałyby ono być formalnie kierowane z Brukseli. Zdawali sobie oni też sprawę z tego, że Amerykanie często wzdragali się przez koncepcją „amerykańskiego imperium”. W rezultacie nieomal każda publiczna dyskusja na temat tych starań prowadzona była w mglistej nowomowie, pełnej eufemizmów w rodzaju: „nowy porządek światowy”, „coraz ściślejszy związek”, „otwartość”, „globalizacja”, „zarządzanie globalne”, „suwerenność łączona”, „porządek oparty na regułach”, „zasada jurysdykcji uniwersalnej”, „wspólnota międzynarodowa”, „liberalny internacjonalizm”, „transnacionalizm”, „amerykańskie przywództwo”, „stulecie Ameryki”, „świat jednobiegunowy”, „niezastąpiony naród”, „hegemon”, „subsydiarność”, „grać według zasad”, „właściwa strona historii”, „koniec historii” i tak dalej. Trwało to przez pokolenie, aż wreszcie znaczenie tych zwrotów stało się jasne dla szerokiej publiczności, czego skutki sami możemy teraz zobaczyć.

Nie wiadomo jeszcze, czy rozkwit nacjonalistycznych sentymentów w Wielkiej Brytanii i Ameryce koniec końców wyjdzie nam na dobre.

Yoram Hazony